

Małgorzata Wiczorek

# KRAŚNIĘTA



(Ilustracja Pawel86 z Pixabay)

K R W A W A  S O T N I A

Twarze podrostków rozjaśniły szerokie uśmiechy. Z kilku ławek dobiegły zduszone chichoty, gdy ich lokatorzy uświadomili sobie, o czym zaczęli właśnie mówić koledzy. Zapadła cisza, ustał ukradkowy ostrzał kawałkami kredy.

– Możecie powtórzyć? – poprosiłam.

– Kraśniaki – odezwał się Bartek.

– Nie, nie! – przerwał mu Mleko. – Kraśnięta! Widział kraśnięta. Sam tak powiedział.

– A co to jest?

– Nie wie pani? – patrzyły na mnie oczy ogromne jak spodki. – Małe, czerwone. No, czapeczki mają.

– Aha. A gdzie je widział? W szkole? W oczach rozbłysło rozbawienie.

– Do lasu pojechał. Jak kraśnięta, to w lesie. Chyba to oczywiste. Pani nie wie?

– A trzeźwy był?

Mleko się skrzywił. – Ja go tam nie wiem. Twierdzi, że nic nie pił. Ale on po grzybki pojechał.

Wzruszyłam w duchu ramionami, i tak już od dawna są zaimpregnowani na cacy. Nieprzemakalni. Co semestr nowy nauczyciel angielskiego. A tego ich kolegi szkoła od wieków nie oglądała. Kraśnięta widział. Kiedyś to się inaczej nazywało. Ale niech będzie. Fajne słowo.

– Ciekawe określenie. Ma ktoś na nie copyright? – zapytałam. W końcu może ktoś z nich coś o tych nieszczęsnych kraśniętach ma zamiar napisać. Może cuda się zdarzają nawet w sportowej klasie.

Salwa śmiechu. Znowu powiedziałam coś w ich rozumieniu cholernie ekscentrycznego.

– To znaczy, że mogę wykorzystać?

– Jasne! – wykrzyknęło kilka głosów. Śmiech na sali. Wykorzystać. Dzwonek. Tym razem nie zarobiłam kredą.

Życie początkującego autora ma swoje plusy i minusy. Nie, chociaż nie, ma tylko minusy. Wiekopomny ten wniosek spadł na mnie podczas rozmowy telefonicznej.

– Nie – oświadczył redaktor. No, przynajmniej znalazł czas, żeby przeczytać. – Nie jest dobrze.

A w każdym razie tyle udało mi się zrozumieć z uwag, jakie wygłaszał na temat tekstu. Chociaż to za dużo powiedziane. Większość z nich wydawała się nie na temat, jakby przeczytał zupełnie inne opowiadanie, niż ja napisałam. O, żesz! W morde jeża! Nic to. Tylko spokojnie, dziewczyno. Asertywność jest w cenie. Może dowiesz się czegoś, co pomoże ci nie popełnić błędów w przyszłości. Wszystkiego można się nauczyć. Nauka to potęgi klucz, no.

A ćwiczenie czyni mistrza.

–Ale dlaczego? – zapytałam rezolutnie, gdy po drugiej stronie zapadła cisza świadcząca o tym, że mój rozmówca we własnym przekonaniu wyczerpał temat. Nie i kropka. Na więcej wyjaśnień nie zasługujesz, mała. Finito. Cisza.

– Nic, dziękuję za uwagi – powiedziałam grzecznie i odłożyłam słuchawkę. Na wszystkich bogów fantasy!

Przed budynkiem szkoły na Hożej, po drugiej stronie ulicy, stało dwóch panów smutnych. Znaczący się, tak wyglądali na pierwszy rzut oka. Na drugi zauważało się, że nad wyższym, jednookim latały dwa kruki, a niższemu spod płaszcza wystawał kawałek harfy.

– I co widzisz? – zapytał niższy.

– Nie było się czym martwić. Te porąbane karły rzeczywiście zapuściły się aż tak daleko, jawnie lekceważąc instrukcje, lecz nie ma powodu, by dzieciakom czyścić pamięć. Powiedzieli tylko swojej nauczycielce, a i tak wszystko złożyli na karb środków halucynogennych. Nie miała miejsca żadna poważna kontaminacja. Możemy stąd iść. O, popatrz! To ona – zmienił temat. – Ta nauczycielka. Wyszła właśnie ze szkoły.

– Ejże! Ja ją znam! – wykrzyknął niższy. – Napisała opowiadanie o Beowulfie. Ma rację, to rzeczywiście był blagier i opój. Ale teraz ona źle robi. Ja jej pomogę!

Niższy ruszył na drugą stronę ulicy. Zatrzymał się tylko przy samochodzie, by wrzucić harfę do bagażnika.

– Hej! Bragi! Zatrzymaj się! Nie możesz się wtrącać w ich życie! No, poszedł. Chędożony bóg poezji. Niech go Hel porwie.

Grzeczne dziewczynki nie robią wielu rzeczy. Jest ich tak dużo, że można się zastanawiać, czy w ogóle coś robią. Z drugiej strony, coś muszą. Choćby oddychać. Ale nie rozmawiają z obcymi na ulicy. A już na pewno nie idą z nimi na kawę. Co jak co, ale to stanowiło niepodważalny trzon

tresury małej dziewczynki, bo wychowaniem nikt by tego nie nazwał.

Podszedł do mnie i zatrzymał, prosząc o chwilę rozmowy. Na ankietera nie wyglądał, wielu zaczepia przechodniów na Marszałkowskiej i wyglądają zupełnie inaczej. Jakoś przypadkowo, a ten wiedział, co robi w życiu i nigdy nie spędzał mu snu z powiek niepokój o to, czym zapłaci jutro za gaz. W jego świecie rachunki płaciły się same. Miękki płaszcz z wielbłądziej wełny, jasne włosy i oczy, cera jak od kosmetyczki, śliczny, jakby blask od niego bił. O w mordę, pomyślałam, jeden z nich, beautiful people, zamieszkujących lśniące strony magazynów dla kobiet. Jak to się stało, że zabłąkał się między zwykłych śmiertelników? A o drogę jednak nie pytał. Zdziwniej i zdziwniej.

– Nie mam czasu – rzuciłam z niechęcią. Zastąpił mi drogę z uroczym uśmiechem. Takim, na jakie powinno się mężczyznom wydzielać zezwolenia, jak na broń palną. Lekko ironicznym, sugerującym, że wie o mnie więcej niż ja sama. Niedoczekanie.

– Chciałbym z panią porozmawiać o baśniach. Dlaczego są ważne, I o mitologii. Czytałam pani opowiadanie.

Aż mnie zatkało. Pierwszy świrięty fan w moim życiu. Na każdego może paść. Jakimś cudem padło na mnie?

Jakby czytał w moich myślach.

– Zapraszam na kawę. Publiczne miejsce, nic pani nie grozi  
– znowu się uśmiechnął. Łajdak.

– Niedaleko jest Green Coffee – powiedziałam. –  
Wprawdzie w Małej Czarnej podają kawę Elektry z  
cynamonem i miodem, ale tam jest zawsze tłok. A Green  
Coffee ma spokojne, jasne wnętrze, takie trochę  
skandynawskie w stylu.

– Jeśli skandynawskie, to nie może być lepiej –z jakiegoś  
powodu bardzo go to ubawiło.

Wyszliśmy na Marszałkowską. Wydało mi się, że słyszę  
furkot. To pewnie moja matka wirowała w grobie. Nie  
pierwszy raz i nie ostatni.

Jedyny pasiasty fotel był wolny, więc od razu na nim  
usiadłam. Większość ludzi traktowała go jak obiekt muzealny i  
siadali gdzie indziej. Ich strata. Facet przyniósł mi moją latte i  
usiadł naprzeciwko. Ani trochę nie zbrzydł.

–To o czym będziemy rozmawiać? – zapytałam. Na stoliku  
stała literatka z herbacianą świeczką obsypaną ziarenkami  
niepalonej kawy. Wyjęłam jedno i zaczęłam gryźć. Nerwowy  
odruch. Atak na tekst nie jest atakiem na ciebie, powtarzałam  
mantrę zapamiętaną ze studiów. Ale nie pomagało. To nie  
uwag do tekstu się bałam. Psiakrew.

– Porozmawiajmy o odrzuconym opowiadaniu – zaczął.

– Redaktor pana nasłał!

Facet parsknął, po czym zaczął się śmiać cały głos, odrzucił głowę do tyłu i dalej rechotał. Wszyscy wokół przerwali swoje rozmowy i ze zgorzaniem patrzyli w naszą stronę. No cóż. Może powinni sobie zezwalać czasem na impulsywne zachowanie. On z pewnością nie miał wrzodów. Po chwili otarł oczy i powiedział:

– Redaktor jest za małym żuczkiem, by prosić mnie o taką przysługę.

1 pokazał mi język.

Runy. Runy wyrzeźbione na języku. Słyszałam kiedyś o takim jednym. Był skaldem, zanim został bogiem, 1 miał żonę. Była szafarką jabłek które zapewniały bogom nieśmiertelność. A była tak piękna, że gdzie stąpnęła, tam wyrastały kwiaty. Też bym tak chciała.

– Ja pani pomogę. Z czystej sympatii.

Zabrzmiało to jak groźba, mimo miłego uśmiechu, z jakim na mnie patrzył. Pojedyncze słowa miały sens, złożone do kupy żadnego. Wariat któremu się ubzdurało, że jest skandynawskim bogiem i wyrznął bądź wypalił sobie futhark na języku. Można i tak. Co kogo kręci.



–Wie pan, muszę już spadać. Miło poznać było, nie było, nie zawsze pijam kawę w takim towarzystwie, nie ma powodu zapominać o grzeczności.

Wstałam z fotela. On również, I zrobił Gandalfa. Albo Galadrielę, już sama nie wiem. To znaczy wyprostował się tak, urósł i pozwolił, żeby coś więcej przeniknęło z tamtej strony i odmieniło jego sylwetkę. Taki władczy blask. Głową sięgał niemal tych kratak na suficie, przez którą klimatyzacja wpychała powietrze i aż usiadłam z wrażenia. Bądź co bądź rozmawiałam z bogiem. Może nie jedynym w Trójcy przenajświętszej, ale zawsze. Nie należy wymagać zbyt wiele, na początek dla niedowiarka aż tyle nadto.

Przez moment zastanowiłam się, czy nie nadszedł już moment, by poprosić Agę o numer tej jej znajomej psychoterapeutki. Oczyma duszy widziałam tę wizytę:

–Wie pani, rozmawiałam z jednym z nordyckich bogów.

–A to ciekawe. Dlaczego pani tak sądzi? Proszę mi o tym opowiedzieć.

Czemuś jednak nie było mi spieszo do podobnej rozmowy. Ostatecznie szyb nie wybijałam, niebezpieczna dla otoczenia nie byłam, a że mam dziwnych rozmówców, to jeszcze o niczym nie świadczy.

Bóg za to uśmiechnął się łagodnie, skurczył i na nowo stał się miłym facetem. Rozejrzałam się nieznacznie na boki, lecz nawet jeśli wcześniej ktoś na nas się gapił, to przestał doskonale maskując zainteresowanie. Albo wręcz nie wzbudziliśmy żadnego. Ostatecznie to miasto już niejedno widziało.

– Czyli chyba jednak zostanę – powiedziałam. Bóg, nie bóg, nie pozwolę, by język stanął mi kołkiem z wrażenia. Musi się bardziej postarać.

– Lecz zanim ja pomogę pani – Bragi ciągnął dalej dokładnie od miejsca, gdzie przerwał. –Chciałbym, żeby pani pomogła mnie. Trzeba złapać pewnego złodzieja.

– Co skradziono? – zapytałam.

– Chodźmy. Wyjaśnię wszystko u przyjaciela. To policjant, będzie miał najświeższe wiadomości.

Wstałam. Ciekawe, skandynawski bóg prosto z Eddy współpracował z warszawską policją. To się robi coraz ciekawsze. Szkoda tylko, że jeśli spróbuję opowiedzieć o tym rodzonej siostrze-neuroložce, to mnie prewencyjnie naszprycuje prochami. No to nie opowiem.

Wyszliśmy z kawiarni na Marszałkowską, a ja znowu złapałam się na tym, że zapomniałam sprawdzić, czy kawa w doniczce w Green Coffee jest atrapą, czy żywą roślinką. Liście

miały taki sztuczny połysk, więc może jednak. Nic, następnym razem.

Okazało się, że skandynawscy bogowie poruszają się po Warszawie wynajętymi samochodami. W sumie może nie powinnam się dziwić, ale zastanowiło mnie, gdzie i kiedy zrobił prawo jazdy, i chyba nie zdawał na Warszawiance? Możliwe jednak, że tak jak jedna pani miał fart (u bogów to chyba nie fart, pewnie sami potrafią sprowadzać takie sytuacje) i gdy zdawał, rozszalała się śnieżycą z gołoledzią, więc egzamin ograniczył się do wyjechania i wjechania na plac manewrowy? Tyle to każdy potrafi. Nawet bóg, który urodził się jako skald w IX wieku i z tego powodu powinien być materiałem na technofoba. Nie był. Całkiem płynnie i swobodnie zaparkował przed komisariatem na Malczewskiego. Nawet nie musieliśmy długo czekać, całkiem szybko zszedł do nas jakiś nie za wysoki, jowialny gość i zaprowadził do pokoiku na trzecim piętrze.

Trzy biurka, na blatach duże, nieaktualne kalendarze, pomazane różnymi notatkami, numerami telefonów, sprawami do załatwienia. Pod ścianą przy drzwiach stała szafka na akta bez akt. W częściowo odsuniętych szufladach widać było sterty pustych druków, spinacze, brudne kubki. Atmosfera

pro wizorki i tymczasowości. To biuro nie było dla nikogo drugim domem.

– Macko Kwasiżur – powiedział policjant. – Nie ważne, jak nazywam się teraz, wszyscy z Warszawy znają mnie pod tym nazwiskiem.

– Z Warszawy? – spojrzałam pytająco. Kiedyś tak nazywano Warszawę, przypomniałam sobie. Wieś Warsza. Warsz to miał być ten od Sawy.

A Maćko Kwasiżur to postać z warszawskich legend. Wolne żarty, panowie.

– Z magicznej Warszawy – odpowiedział. Przeniósł wzrok na Bragiego. – Przecież ona nic nie wie. SAUF obedrze ciebie ze skóry za wciąganie jej w nasze sprawy.

– SAUF? – widać moja karma na ten dzień przewidywała wyłącznie pytające spojrzenia. Nie zwrócili uwagi. Typowe.

– To jedna z nich. Fantastów. Oni są porąbani, ale ona... – nie dokończył. Może i lepiej. Pewnie bym dokonała bogobójstwa na nowopoznanym bogu. – Nikt jej nie uwierzy, nawet jeśli zaczniesz gadać.

Macko zastanowił się chwilę i zdecydował się udzielić kilku odpowiedzi. Mam nadzieję, że nie zastanawiał się w tym czasie, jak trudna byłaby moja likwidacja i zacieranie śladów, gdyby jednak Bragi pomylił się co do mojej dyskrekcji.

– SAUF to międzynarodowa organizacja, coś w rodzaju tajnych służb magicznego świata. Głównie dba o to, by informacje o naszym istnieniu nie dotarły do niewłaściwych uszu.

– A jakie to są niewłaściwe uszy?

Pomyślał chwilę.– Naukowcy, dziennikarze. Wszyscy gotowi nakręcić spiralę hysterii i rozpętać polowanie na czarownice. Z całym szacunkiem, ale pisma fantastyczne się nie kwalifikują.

– A nasze służby? Warszawskie? – wyraźnie zaakcentowałam drugie "a" w nazwie.

Roześmiał się. – To przyjaciele. Czasem wymieniamy się przysługami. Nie wszyscy o nas wiedzą, ale część tak. Ta najważniejsza.

Ja myślę, że przyjaciele. Już sobie wyobraziłam ten niewykrywalny podsłuch, te pluskwy, których jedynym aktywnym elementem były duchy powietrzne. Ja cię kręcę. Mnie też by zależało na pielęgnowaniu tej przyjaźni na miejscu szczyh z WSI czy innego ABW. Cholera, wytrą mi pamięć jak nic, za wiele wiem. Luzem nie puszczą.

Bragi z Kwasiżurem wymienili spojrzenia, jakby upewniając się, czy są gotowi dalej odslaniać przede mną

swoje tajemnice. Musieli osiągnąć jakieś porozumienie, bo facet z runami na języku odezwał się po chwili.

–Trzeba złapać pewnego złodzieja – powiedział.

Tyle już zdążył powiedzieć w Green Coffee. Czekałam na więcej. Kwasiżur przyszedł mu z pomocą.

– Makary Kulawik, to on za tym stoi. I nie tyle złapać, co odebrać to, co ukradł. Jeśli się zorientuje, że go namierzyliśmy, cała akcja na nic.

Straciłam cierpliwość.

–To może mi, panowie, powiecie, co ukradziono. Szybciej będzie.

Kwasiżur popatrzył na mnie z zakłopotaniem na okrągłej twarzy.

– Kiedy nie wiem, jak pani to wytłumaczyć. Czy o miodzie skaldów kiedyś pani słyszała?

– Owszem, tyle ile jest napisane w Eddzie. Pewnie wy macie zresztą lepsze informacje. Według moich, został wytworzony z krwi Kvasira przez podstępne krasnoludy, czy raczej karły, różne bywają tłumaczenia. Kvasir oczywiście operacji nie przeżył – przerwałam i popatrzyłam na Kwasiżura.

– Ale oczywiście podobieństwo imienia do pana nazwiska jest zupełnie przypadkowe, prawda? – potwierdził kiwnięciem

głowy. Jasne, że jest z innej bajki. Mogłam nie pytać. – Ten sam miód Odyn ukradł Suttungowi uwiódlszy jego córkę Gunnlod i uciekł pod postacią orła. Niby miód, a w sumie takie czarodziejskie coś, co z byle kogo robiło poetę. Oczywiście, w znaczeniu używanym w tamtych czasach, kiedy nie było praktycznie innych form literackich, I znowu ktoś go ukradł? – zainteresowałam się uprzejmie. – No cóż, nie pierwszy widać raz i pewnie nie ostatni.

– Sytuacja jest bardzo delikatna – odezwał się Kwasizur. – Wypicie nawet odrobiny miodu skaldów obdarza człowieka niespotykaną charyzmą. Słowa spijane są wręcz z jego ust i ma niemal hipnotyczny wpływ na otoczenie. Nie jest zatem dziwne, że na czarnym rynku osiąga nieprawdopodobne ceny.

– Polityka! – domyśliłam się.

– Reklama i biznes – zostałam błyskawicznie sprowadzona na ziemię. – W tym są większe pieniądze. Weźmy na przykład koncern farmaceutyczny, którego przedstawicielowi wystarczy jedna rozmowa, by sprawić, że jego specyfik znajdzie się na liście leków refundowanych przez państwo, a środki konkurencji z niej wypadną. Żaden z polityków nawet nie oglądał na oczy odpowiednich pieniędzy, by kupić sobie chociaż gram miodu skaldów.

– Rozumiem niebezpieczeństwo – powiedziałam. – Ale nie rozumiem, jak można było dopuścić, by choć odrobina tej substancji wymknęła wam się z rąk.

Widać było, że obu ogarnęło pewne zmieszanie.

– Nieprzyjemnie jest oskarżać innych – powiedział Bragi. – Lecz powiedzmy, że to któryś z naszych przyjaciół okazał się zbyt nieostrożny przechowując miód.

No tak, pomyślałam, oni też pewnie z tego chcieli skorzystać. Jak to było? Charyzma, hipnotyczny wpływ, słowa spijane z ust. Święty by się skusił. A chłopakom taka wymowność pewnie pomagała w robocie.

Staralam się nie myśleć, co miód mógł zrobić dla mnie.

– Kulawik jest jednym z najlepszych złodziei Warszawy, jeżeli nie najlepszym – ciągnął Bragi. – Co oznacza też niestety, że wyposażył się w masę zabezpieczeń. Ktokolwiek związany z nami, czyli którymś z bogów, podejdzie za blisko, to uruchomi alarm.

– Wiemy, co planuje – powiedział Kwasiżur. – Jest obserwowany, karły dobrze się sprawdzają na ulicy.

– Nie rzucają się za bardzo w oczy? – zdziwiłam się.

– A nie. Mają już na to swoje sposoby. A ponieważ w gruncie rzeczy przyziemne z nich stworzenia, ich pojawienie



się nie powoduje uruchomienia systemu alarmowego. Oczywiście, dopóki nie pchają się Kulawikowi pod oczy. Normalnych przechodniów nie zdziwią, ale Kulawik ich zauważy, i miód zniszczy lub, co gorsza, wypije.

Obu facetów aż otrzęsło na myśl, że Makary Kulawik mógłby wypić choć odrobinę miodu, a Bragi wyszeptał ze zgrozą: – Jeden Loki to aż nadto. Niepotrzebny nam jeszcze do tego Kulawik.

Po krótkiej chwili z trudem oderwali się od przerażającej wizji i z powrotem skupili swoją uwagę na mnie.

– Wiemy gdzie i kiedy Kulawik zamierza przeprowadzić transakcję – powiedział Kwasizur. – Problem w tym, że nie możemy podejść zbyt blisko, nie możemy – nie chcemy – wejść zbyt wcześnie, by nie spłoszyć kupca. Dobrze wiedzieć, dla jakich kręgów istnienie Warszawy nie jest tajemnicą.

– Co chcecie, żebym zrobiła?

Ugryzłam się w język za późno. Zaoferowałam pomoc, bez dwóch zdań. Gdy tylko to usłyszeli, obu zaświeciły się oczy i aż zakląłam w duchu. Powinnam znać reguły na pamięć. Sama takie rzeczy piszę, od czasu do czasu. W Green Coffee Bragi wyraził się na tyle mętnie, że nie liczyło się to jako prośba.

– Nie mogliście poprosić, prawda? – powiedziałam. – Musiałam sobie własnoręcznie założyć pętlę na szyję, I odegraliście to wszystko na mój użytek. Dlaczego akurat ja?

– To chyba oczywiste – odpowiedział Bragi. – Potrzebny nam ktoś z zewnątrz i to ktoś, kto nie reaguje alergicznie na wzmiankę o elfach, karłach czy magii, I zanim pośle do czorta, wpierw wysłucha dziwnych opowieści.

Aha. Rozumiem, że mam się czuć zaszczycona. Ale jakoś na nowo przebudził się we mnie niewierny Tomasz. Widać bóg wyczytał to w moim spojrzeniu, bo zaraz dodał:

– Poza tym mamy u pani dług do odebrania. Zbaraniałam. – Słucham?

– Pamięta pani czas pisania pracy magisterskiej? – zapytał uprzejmie.

Przekląłam nielicho w duchu. Jasne, że pamiętam. Kretynka postanowiła pisać o Anglo-Saxon Magic, co oznaczało rycie w sagach, zmaganie się z nieludzkim narzeczem, szamotanie się z brakiem opracowań i w końcu spóźniony dyplom. Na swoją obronę mogę powiedzieć tylko tyle, że w swoim czasie wydawało się to niezłym pomysłem. Tak samo jak uczenie w szkole.

A najlepiej pamiętam dzień, w którym wydawało się, że nigdy tego wszystkiego nie skończę i w desperacji wezwałam

na pomoc wszystkich Asów i Wanów, bo to przecież ten sam krąg kulturowy. Zadziwiające, że od tamtego dnia ruszyło jak z bicia strzelił.

Jedyna korzyść teraz z tego jest taka, że potrafię wyrecytować kilka czarów na czele z Zakłębem Dziewięciu Ziół. Jakby komuś to było na coś przydatne. No, ale słowo się rzekło, kobyłka u płota. Długi się s płaca, cholera. Szczególnie te zaciągnięte u nordyckich bogów.

– Mam najpierw kilka pytań. Skąd miód skaldów? Przecież to własność Odyana. Chcecie powiedzieć, że oddał? Z własnej woli?

Popatrzyli na siebie z nietęgimi minami.

– już nie należy do niego – powiedział Kwasizur. –To stara historia. Z czasów II wojny światowej – i zamilkł. Popatrzył na Brągiego, jakby nie kwapił się mówić dalej o krępujących sprawach, które nie dotyczyły go bezpośrednio. Bóg wciągnął głęboko powietrze.

– Odhinn wtedy oszalał – powiedział, I jakoś odrobinę inaczej wymawiał to imię niż ja. – Chwilowo oszalał, w każdym razie taka panuje opinia wśród naszych. Pokajał się, podobno zrozumiał błędy i wypaczenia. Zostało mu wybaczone, po części pewnie dlatego, że w końcu każdy

odetchnął, gdy się okazało, że temu chodzącemu symbolowi mądrości jednak sporo do ideału brakuje. Ale szaleństwo Odhinna zaowocowało trzęsieniem ziemi w naszym świecie. Powstał SAUF, skończyło się jedynowładztwo. Karły zaczęły studiować ludzką technikę. Okazało się, że mają inżynierskie duszyczki i są całkiem cwane. Potrafią połączyć waszą naukę z tym, co my wiemy. SAUF ma Dział Rozwoju Technologii Dualnych. Wiele karłów pracuje nad różnymi rzeczami. Tam w lesie, gdy uczeń z pani szkoły się na nie natknął, przeprowadzały swoje badania...

Zapędził się, wyraźnie unikając bezpośredniej odpowiedzi na moje pytanie.

– Co zrobił Odhinn? – zapytałam.– Powie pan mi w końcu? Bragi przełknął ślinę.

– Zapragnął wyznawców – powiedział. –Tak naprawdę potrzebni nam są tylko dla zaspokojenia próżności, skandynawskim bogom wystarcza towarzystwo innych Asów i Wanów, dlatego wszyscy zgodzili się, że oszalał. Zabawne może być czasem ingerowanie w losy ludzi, lecz po tym, co zrobił Odhinn...

Prawie już straciłam cierpliwość, gdy w końcu wyrzucił z siebie coś bardziej konkretnego.

– Nie powinien dawać miodu temu Austriakowi. Malarz pokojowy nie będzie nigdy skaldem – powiedział.

O bogowie! Nagle zrozumiała stała się ta charyzma, hipnotyczny wpływ na tłum, który reagował histerycznie na przemówienia wodza. No i upodobanie nazistów do neopoganizmu. Ciekawy sposób na zdobycie wyznawców. A teraz znowu groziło, że miód dostanie się w niepowołane ręce.

W ten sposób znalazłam się na placyku przed Europleksem na Puławskiej. Przed sobą miałam budynek, za mną siedziały lwy, które w poprzednim życiu pełniły wartę przed kinem Moskwa, gdzie następnie wybudowano Europlex. Z lwami była dziwna sprawa – jak całe życie pamiętam, były piaskowe w barwie, lecz z renowacji wróciły różowe, akurat pod kolor elewacji. Według oficjalnej wersji ten odcień ujawnił się po zdjęciu warstwy zabrudzeń. Coś mi się wydaje, że spec od PR, który to wymyślił, miodu skaldów to nawet na obrazku nie oglądał. Nagle jakoś zrobiło mi się zimno i nieprzyjemnie na myśl, jak wiele osób chciało innym sprzedawać swoją wersję prawd; i jak bardzo miód im by w tym pomógł.

Powiał wiatr, syknęło nawet śniegiem. Kilka dni temu na kilka godzin zawitała wiosna, lecz znowu sobie poszła. A już zaczynało być naprawdę ciepło, ptaszek wyrывał się kwilić i

nawet się ucieszyłam, lecz z pewnym zabobonnym lękiem że przyjdą (kimkolwiek by ci oni byli) i zabiorą 1, cholera, rzeczywiście zabrali. Zastanawiałam się, czy północni bogowie mogą mieć z tą pogodą da coś wspólnego. Dobrze jest mieć kogo obwiniać za swoje nieszczęścia. Lecz na razie miałam robotę do wykonania.

Ulokowałam się w Tricaffe obok Silverscreen; Karły w roli, jakby to określił le Carré, ulicznych artystów trzymały się z daleka, albo rzeczywiście tak doskonale roztopiały się w tłumie że nie zauważyłam nic podejrzanego idąc te dwa przystanki od siebie.

Zamówiłam sobie latte i zaczęłam czekać na przybycie Kulawika. Pojawił się w końcu, niski, korpulentny mężczyzna, już nie taki młody, o posiwiałych włosach i białych krzaczastych brwiach, spod których połyskiwały jasne oczy. Dokładnie taki, jak opisywał Kwasiżur.

Teraz czekaliśmy już tylko na pojawienie się kupca. Kulawik był ostrożny i wolał końcową wymianę przeprowadzić w publicznym miejscu Według wiedzy Kwasiżura połowa pieniędzy znalazła się na koncie złodzieja, potrzebowali tylko zdobyć potwierdzenie tożsamości kupca. Na moje uwagi, że Kulawik bardzo ryzykuje, jeśli liczy, że po otrzymaniu towaru ktokolwiek zapłaci mu resztę, Bragi i

Kwasizur roześmieli się i powiedzieli, że najwyżej by okradł niesolidnego klienta. Według nich zdarzył się już precedens. A SAUF czy oni sami nie byli od łapania złodziei, tylko najwyżej od zacierania śladów i ukrywanie. Warszawy.

Niech im będzie. Tylko dlaczego ja mam go łapać?

Obiecywali, że będzie to łatwe, że urzędnicy w które mnie zaopatrzyli, załatwi sprawę za mnie. Że nieuruchomione jest pasywne i alarm Kulawika nie zareaguje. Na razie nie widziałam nic, co zaprzeczyłoby ich słowom. Ale i tak czułam, jak pod małym okrągłym stolikiem trzęsą mi się nogi.

W końcu przybył jego kontrahent. Wysoki mężczyzna z przepaską na jednym oku. Usiadł.

Ręka sama sięgnęła do kieszeni, lecz powstrzymałam się jeszcze chwilę. Uważaj, powiedziałam sobie, nie działaj zbyt szybko, zawsze może zdarzyć się, że ktoś się przysiadzie, nawet niemile widziany. Upewnij się. Nie chcemy, byś zamroziła niewinnego, acz namolnego pijaczka.

Kulawik sięgnął do kieszeni i wyciągnął niewielki pakunek. Odwinął papier i pokazał niewielką, kamionkową flaszkę, której korek zalany był woskiem. Postawił na stole. No, teraz chyba nie można mieć wątpliwości. Wcisnęłam guzik uruchamiając urządzenie, będące połączeniem techniki i magii.

Zdarzyło się kilka rzeczy na raz. Wszystko wokół mnie zamarło, a powietrze rozdarł głośny skrzek: – Alarm, alarm, wykryto działanie magii, powtarzam, wykryto magię.

Diabli by porwali Kulawika i jego zabezpieczenia. Próbowałam zignorować hałas i podeszłam do stolika.

Złodziej, tak jak powinien, zamarł w pół ruchu. Sięgnęłam po flaszkę, gdy w jednej chwili nadgarstek mojej prawej ręki uwiązał w chwycie niedoszłego nabywcy miodu. Jak ja nie lubię, jak nic mi się nie udaje.

– Pan nie jest z Warszawy – zauważyłam błyskotliwie i spojrzałam w jego twarz. Nagle uświadomiłam sobie, kto oddał oko za wiedzę, zawisł na drzewie i tak dalej. Cholera. Historia lubi się powtarzać.

– Pani nie jest z SAUF-u – odpowiedział z ironicznym skrzywieniem ust.– Nie powinni pani w to mieszać – puścił nadgarstek i zaczął się przypatrywać mi z pogardą. – Że też dała się pani na coś takiego namówić.

– Dlaczego? – zadałam pytanie po części, by zyskać na czasie i mieć chwilę na zebranie myśli. – Dlaczego Odhinn kradnie miód skaldów? Przecież jest królem bogów.

Popatrzył na mnie, jakby pierwszy raz zobaczył.

– Witamy w XXI wieku – powiedział.– Może nie powinna pani pisać fantasy, traci się przez to najwyraźniej kontakt z



rzeczywistością. Nawet do nas zawitały zmiany, demokracja i tym podobne. Odhinn jest tylko jednym z wielu i to nie najważniejszych. A było inaczej – dodał, a głos mu się niebezpiecznie obniżył. Wyczuwało się w nim groźbę.– I jeszcze będzie inaczej.

Nim skończył mówić te słowa, dostrzegłam swoją szansę. Przez chwilę zapatrzył się w dal i zdążyłam złapać flaszkę.

–Ani kroku dalej – zagroziłam trzymając miód wysoko nad głową.– Nie zawaham się rozbić.

Przelotnie zastanowiłam się, czy w razie czego zdążę wypić miód... Po co od razu rozbijać? Ale pewnie nie zdążyłabym wydłubać całego wosku, którym zalany był korek. Nie mówiąc o tym, że wydłubanie samego korka też by trochę trwało. No i po tym, co usłyszałam, dało się wywnioskować, że miód nie zawsze przynosi gwarantowane efekty. "Mein Kampf" żadną literaturą nie był.

Odhinn posłusznie odsunął się od drzwi, obróciliśmy się wokół wspólnej osi, nie spuszczać z siebie oka. Sięgnęłam do tyłu i popchnęłam drzwi. Wyszłam na placyk.

Uśmiechnął się i strzelił palcami. Coś zaryczało. Z trwogą odwróciłam głowę i zobaczyłam, że różowe lwy opuściły swoje stanowiska na postumentach. Zbliżyły się. Potrząsały

grzywami, pazurami darły chodnik, pozostawiając na płytach długie ślady. Zęby też miały nieliczne. Po prostu prześliczne.

–Wygląda na to – powiedział Odhinn – że trzymamy się nawzajem w szachu. Proszę oddać mi miód, to odeślę kotki z powrotem na miejsce. Nie zależy mi na tym, by panią skrzywdzić.

W sumie, pomyślałam, lepiej by miód skaldów był w posiadaniu Odhinna, niż jakiegoś skorumpowanego warszawskiego polityka, i tak kiedyś do Odhinna należał, nawet jeśli zdobyty został w nielegalny sposób. Bzdury, skarciłam samą siebie, po co mu? Znowu napoi nim kogo nie trzeba i będą kłopoty.

Nagle nad samą głową usłyszałam świst, jaki musiały wydawać skrzydła husarii i z wrażenia flaszka z miodem o mały włos sama nie wyskoczyła mi z dłoni. Złapałam ją w ostatniej chwili. Z dachów Centrum Finansowego i Europleksu pikowały konie, dziewczyny ich dosiadające miały łabędzie skrzydła, rozsunęły je i wyhamowały w ostatniej chwili. Odeszłam kilka kroków w bok i pozwoliłam walkiriom bez przeszkód wylądować. Wyglądało na to, że nastąpiło przetasowanie sił. Tylko na czyją korzyść? W wersji

kanonicznej walkirie były dziewicami Odhinna i tylko jego słuchały. Żywiłam nadzieję, że i to się zmieniło.

Dziewczyny sprawnie dokonały desantu. Zeskoczyły z rumaków, nim jeszcze ich kopyta dotknęły na dobre ziemi i obstawiły placyk. Zablockowały dojście przechodniom, którzy w momencie odpalenia urządzenia byli za daleko, by znieruchomieć. Ubrane były w czarne mundury i po ściągnięciu narzuconych na wierzch łabędzich koszul wyglądały jak pracownice jednej z licznych firm ochroniarskich. W rękach trzymały karabiny. Witamy we współczesnym świecie. Lwy jak niepyszne wróciły na postumenty, przeciągnęły się po raz ostatni i zamarły. A Odhinn ze zniechęceniem machnął ręką w stronę nadchodzących Kwasizura i Bragiego.

– No, tak. Mogłem się spodziewać, że mnie podejrzewacie – powiedział.

– Nie mieliśmy pewności – odpowiedział Bragi. – Dlatego wszystko robiliśmy w tajemnicy przed SAUF-em. Oczywiście wiesz, że to kładzie kres twojemu szefowaniu Działowi Rozwoju.

Odhinn wzruszył ramionami i uśmiechnął się w sposób, który oznaczał: no cóż chłopaki, może lepiej mi się uda

następnym razem. Zamienił się w orła i odleciał. Nikt nie kłopotał się pościgiem.

Walkirie sprawnie zajęły się Kulawikiem. Wyniosły go z kawiarni, nie kłopotząc się, co powiedzą ludzie po przebudzeniu. Najwyraźniej miały już doświadczenie i wiedziały, że zawsze znajdą jakieś racjonalne wyjaśnienie, które nie zakłóci ich obrazu świata.

Popatrzyłam na flaszkę miodu w rękę, zastanowiłam się i potrząsnęłam głową z niechęcią. Nie potrzebny mi rząd dusz. Ostatnia rzecz, jakiej można pragnąć.

Podeszłam do Bragiego.

–To zdaje się należy do pana – powiedziałam.

Telefon odegrał melodyjkę, obwieszczając przybycie SMS-a. Kliknęłam kółeczkiem z boku mojego soniaka, by odczytać wiadomość.

"Bardzo ciekawe opowiadanie. Skąd pomysł?"

Aha. Fajnie. Tylko co ja mu teraz napiszę, skoro prawdy nie mogę? Ani Bragi, ani też Kwasiżur nie byli znajomymi, o których należy opowiadać redaktorom. Nawet pism fantastycznych. Diabli wiedzą, jakich mają ci redaktorzy znajomych. A będą paplać, jak to faceci – przecież w Bene

Gesserit były same baby nie bez powodu, rajt? Jeszcze ktoś im uwierzy i zechce sprawdzić, co się za tym kryje. Wypadki chodzą po ludziach i nie jeden wpadł, bo ktoś za dużo kłapał dziobem. Inny problem też, że nie wiem, co tak naprawdę zrobił mi Bragi. Przecież miodu nie wypiałam, nespą? No to w takim razie co się do jasnej cholery stało, że nagle zaczęło się redaktorowi podobać to, co piszę?

Warszawa, 2004 (Click Fantasy)